Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 33.** **Leszno,** *dnia* 15. *Lutego* 1840.



Ruiny zamku trockiego na jeziorze.

Dwoje jest Trok w Litwie, stare i nowe. Pierwsze, dziś nędzna wioska, były niegdyś przez lat czterysta stolicą potężnéj Litwy. Założył je Gedymin w r. 1321., na pamiątkę pomyślnych w tém miejscu łowów, i nazwał Trokami, ztąd, iż wszyscy otaczający go wówczas myśliwi, rozmaitą zwierzyną troki swe napełnili; z czego rokując Gedymin jużto szczęśliwą wróżbę, już obfitsze w tém miejscu knieje, stolicę swą w tymże roku z Kiernowa do Trok przeniósł, i w nich aż do założenia Wilna utrzymał.

Po śmierci Gedymina, Troki stały się udziałem syna jego Kiejstuta, jednego z najznakomitszych bohatérów nietylko Litwy, ale i wieku swojego. Onto założył Troki nowe, wraz z obudwoma zamkami, **w i ę k s z y m i m n i e j s z y m.** Większy, nad samym prawie brzegiem ze trzech stron miasto oblewającego jeziora, w bardzo już małych szczątkach dzisiaj widzieć się daje. Drugi, mniejszy, którego ruiny wizerunek wyraża, leżał na wyspie o kilka set kroków od brzegu i nadbrzeżnego zamku odległy. Dotąd przy zniżonéj wodzie widzieć można resztki palów łączącego je kiedyś mostu.

Żaden szczególnie ważny wypadek w dziejach litewskich, nie wiąże się bezpośrednio z Trokami, oprócz, że były mieszkaniem Kiejstuta. Lecz męstwo jego, nie pod murami swéj stolicy nieprzyjaciół czekało. Granice Litwy, Polska, Inflanty, a mianowicie ziemie Krzyżaków pruskich, były teatrem i świadkami czynów, zwycięztw, przeciwności, a zawsze wielkiego umysłu Kiejstuta. W ciągu wieloletnich jego z różném szczęściem wojen, mieszkańcy Trok wtenczas tylko nieprzyjaciół widzieli, gdy ich w pełnym rynsztunku, na podziękowanie

bogom za pomyślną wyprawę, na świętych stósach palono, i nie wprzód zbroje krzyżowe groźnie pod murami trockiemi zabłysły, aż sam W. książę litewski Jagiełło, na dobro poddanego kraju, na związki krwi i przyjaźni, na sędziwość wieku stryja Kiejstuta i na wielką jego chwałę niepomny, zawezwał przeciw niemu Konrada Zölnera, W. mistrza pruskiego, i z nim podczas oddalenia się Kiejstuta do ziemi siewierskiéj, obległszy Troki, zdobył je po kilkodniowym oporze. Nie mogąc pospieszyć ku odsieczy, spieszył się na ich odzyskanie Kiejstut, i niezlękniony świeżemi posiłkami Krzyżaków, już był swe wojsko do walnéj przeciw nim uszykował bitwy, gdy za namową Krzyżaków, pod pozorem układów, do obozu Jagiełły zwabiony, i tam wraz z synem Witoldem pojmany, w więzieniu krewskiém wkrótce życie zakończył.

Na rękę była zakonowi wewnętrzna książąt litewskich niezgoda; godziwe wszelkie środki, którymi ją mogli podniecić; pożądana każda sposobność wmieszania się w sprawy sąsiadów, skoro w tém własne upatrywali pożytki. Podał im ją niebawnie chciwy pomsty za śmierć ojca Witold, gdy za pomocą swéj żony uszedłszy z krewskiego więzienia, przybył na dwór Mistrza pruskiego, szukając przeciw Litwie posiłków. Obietnicą hojnéj nagrody raczéj, niż pozornym chrztem Witolda zniewolony Zölner, sam w towarzystwie jego, z liczném wojskiem Rejtarów i Knechtów wtargnął w granice litewskie, i między innemi oba zamki trockie, taranami i strzelbą do połowy zniszczywszy, po zaciętym szturmie opanował. Ale nim je Krzyżacy ku swéj obronie naprawić i umocnić zdołali, oblężeni z kolei przez Jagiełłę, wkrótce z nich ustąpić musieli. Jagiełło zamki naprawił, i zapewne lepiéj, niż przedtém, umocnił, gdyż późniéj we cztery lata, w roku 1387., oparły się dwom usilnym szturmom krzyżackim, którym, po drugi raz do Prus zbiegły Witold przywodził. Zdobył je wszakże i spalił w r. 1390., gdy po raz trzeci z Mistrzem krzyżackim, Konradem Wallenrodem, i Krzyżownikami, niszczył Litwę i ciągnął na Wilno.

Na tém się kończą dzieje wojenne zamków trockich. Znać musiano je odbudować po ostatniém spaleniu, gdyż w dalszych latach były mieszkaniem samegoż Witolda, który tam nawet życie swoje zakończył: w nich także mieszkał i zabity został brat i następca Witolda, Zygmunt Kiejstutowic, o czém dosyć obszernie mówią kroniki litewskie.

Po unii Litwy z Polską, Troki stały się stolicą województwa, teraz są tylko powiatowém miasteczkiem.

O artyleryi austryackiéj.

(Dokończenie.)

Ogniomistrzowstwo wojenne. Tym sposobem opisawszy rozkład artyleryi austryackiéj, przystępujemy teraz do niektórych szczegółów ogniomistrzowstwa wojennego i wymieniemy niektóre główniejsze proporcye, w témże wojsku przyjęte.

Oto stósunek części składowych prochu strzelniczego, od roku 1826. w wojsku austryackiém przyjęty: Na proch sztuccowy i do strzelby ręcznéj używa się 75 saletry, 12 siarki, 13 węgla; na proch używany do rozsadzania: 64 saletry, 19 siarki, 20 węgla; na proch działowy medyolański: 76 saletry, 12 w równéj części siarki i węgla. Przy robocie prochu szczególniejszy wzgląd mieć należy na dokładne sproszkowanie, i zupełne pomięszanie części składowych, co w nowszych prochowniach austryackich uskutecznia się w beczkach wynalazku Buchenholza, w każdéj po 150 kulek 6-funtowych.

W austryackiéj artyleryi wagomiarem armat jest waga kul właściwych, zaś granatników i moździerzy, waga kul odpowiednich kamiennych, i dotąd jeszcze w rozmiarach tych waga dawna lekka norymberska jest przyjętą, tak n. p., że 3-funtowéj armacie odpowiada kula ważąca tylko $2\frac{1}{2}$ funtów wagi wiedeńskiéj. Polowe armaty mają w długości 16 średnic odpowiedniéj kuli, czynione bowiem w tym względzie doświadczenia przekonały, że tylko do 18 wagomiarów w długości donioslość znacznie się powiększa, dłuższe mało daléj donoszą pocisk. Długość dział szańcowych dochodzi do 24 wagomiarów, aby głębiéj zanurzały się w przedmiotach wyrzucone z nich pociski. Ciężar armat polowych takiego wagomiaru, wynosi na każdy funt kuli 120 do 200 funtów wagi; działa szańcowe są stósunkowo cięższe i grubsze, i znowu grubość śpiżu nie jest wszędzie jednakowa, lecz zmniejsza się coraz idąc ku wylotowi od najgrubszego dna, ponieważ siła spłonionego prochu coraz słabiéj działa, a najmniéj na ściany wylotowéj części. Granatników długość stósuje się do długości ręki ludzkiéj, bo się nabój ręką do komory wkłada; grubość mniejsza, jak u armat, albowiem o wiele mniejszy używany nabój; przestwór stósunkowo o wiele większy, jak u armat, ponieważ zapalnik granatu zająć się powinien od płomienia z naboju. Co do moździerzy, taż sama służy zasada, jak i innym działom, że im dłuższe, tém strzały pewniejsze, lecz znowu ograniczyć się w długości należy przez wzgląd na grubość metalu, ciężar, a ztąd trudność przewozu, nie są przeto dłuższe, jak do $1\frac{1}{2}$ wagomiaru, grube być mają szczególniéj przy dnie, z przyczyny ciężaru bomby.

Co do porządków: osie austryackie są dre-

wniane, koła łóż złożone z dwunastu lub czternastu szprych, sześciu albo siedmiu dzwon; u wszystkich łóż polowych mają w średnicy 4 stopy 3 cale 8 linij.

Proporcya spiżu działowego jest na 100 funtów miedzi, 11 do 12 funtów cyny. W Austryi obecnie leją działa we wzorach z lepu; wzór na działo 12-funtowe wyrobi sześciu ludzi w pięciu godzinach. Świdrownie są urządzone pionowe, poruszane wodą; lecz obecnie w Wiedniu zaprowadzono poziome i zastósowano do nich siłę pary.

Pociski w powszechności żelazne leją się z surowcu w piecach (Hoch-Oefen), pełne we wzorach, wydrążone na rdzennym drążku, a ulane dopiero w beczkach, wodą obracanych, polerują się. Kule karabinowe w formach do tego odlewają się z ołowiu, a po wystygnieniu odcinają się nadrostki i równo całe zgładzają. Grubość granatnika 10-funtowego z wierzchu 6^{III} 8^{IV}, od spodu 1^{II} 3^{III} 1^{IV}, 3-funtowego z wierzchu 3^{III} 7^{IV}, od spodu 5^{III} 7^{IV}. Największa długość zapalników dla 7-, 6- i 3-funtowych granatów jest: $4\frac{1}{4}^{II}$, $2\frac{3}{4}^{II}$, $2\frac{1}{4}^{II}$; dwa ostatnie zapalniki goreją pięć sekund. Grubość bomby 100-funtowéj z wierzchu 1^{II} 3^{III}, od spodu 2^{II} 8^{III} 6^{IV}; 10-funtowéj z wierzchu 6^{III} 3^{IV}, od spodu 1^{II} 3^{III} 1^{IV}. Największa długość zapalników dla bomb 10-, 30- i 60-funtowych jest: $4\frac{3}{4}^{II}$, 7^{II}, 9^{II}; których część 1^{II} długości pali się trzy sekundy. Kule ogniste (Feuerballen) wyrabiają się z massy świetnéj, nabite są granatém 3-funtowym i mordownikami zaopatrzone (Mordschläge), a dopiero obwiedzione szpagatem i osmolone bywają. Proch na nabój używany, wynosi, co do wagi: dla armat polowych $\frac{1}{4}$ wagi kuli, dla dział oblężniczych i wałowych $\frac{1}{3}$ wagi pocisku, dla zrobienia wyłomów $\frac{1}{2}$, przeciw przedmiotom z drzewa między $\frac{1}{3}$ a $\frac{1}{5}$, na strzały odbitkowe między $\frac{1}{8}$ a $\frac{1}{10}$ tejże wagi, na strzały armatno-kartaczowe dają nieco większy nabój, jak dla kuli. Granatnikowe naboje w ogólności są mniejsze od armatnich, ponieważ wyrzucają pociski pod znacznym kątem, a mocne naboje przy większych podniesieniach niszczą bardzo łoza; granica tu używanych nabojów od $\frac{1}{24}$ do $\frac{1}{8}$ wagi pocisku. Naboje dla moździerzy dotąd stanowczo nie są oznaczone, mniéj więcéj stósownie do odległości sypie się prochu około $\frac{1}{20}$ wagi bomby. Do ustawienia dział i nadania im odpowiedniego do celu podniesienia, używane są w austryackiéj artyleryi: r u c h l i w e c e l o w n i k i (bewegliche Richtwisire), są to mosiężne liniały na cale i linie podzielone, mające przy podziałach posuwalną dziureczkę, przez którą celuje się do przedmiotu przez najwyższe punkta głowy działa. Do kierowania moździerzy służy ć w i e r c i o k r ą g (kwadrant) stósownie urządzony.

Donïosłość strzałem rdzennym teraz używanych armat, oblicza się na 300 do 400 kroków. Strzał ostro przez metal i w podniesieniu z armat i granatników po równym gruncie przypuszcza się dwa razy taki, jak rdzenny, a w przecięciu $\frac{\text{3-funtowe}}{600}$, $\frac{\text{6-funtowe}}{750}$, $\frac{\text{12-funtowe}}{800}$ $\frac{\text{armaty}}{\text{kroków}}$; $\frac{\text{7-funtowe}}{350}$, $\frac{\text{10-funtowe}}{500}$ $\frac{\text{granatniki.}}{\text{kroków.}}$ Za granicę strzału w podskokach można przyjąć 2000 kroków, bo téż przy większéj odległości trudno gołém okiem poradzić. Doniosłość moździerzy przypada między 100 a 3000 kroków.

Co do prawdopodobieństwa trafu z czynionych doświadczeń wyprowadzono, że armatnie kule w średnich odległościach od 1000 do 1500 kroków, chybiają w doniosłości blisko 250, a zbaczają z linii kierunku od 20 do 50 kroków. Strzały granatnikowe o wiele zawodniejsze są, jak armatne, okres w doniosłościach średnich przypada pomiędzy $\frac{1}{4}$ a $\frac{1}{3}$, tak n. p., że granat mający z wyrachowania paść o 1800 kroków, padnie w odległości między 1500 a 2100. Zboczenia pocisków z moździerzy wyrzucanych w małych odległościach, są nieznaczne, w dalszych większe od armatnich, ale znowu mniejsze od granatnikowych, tak n. p. można przyjąć w przecięciu, że bomba 60-funtowa na 400 kroków chybiać będzie o 25 kroków.

Skutki strzałów, podług doświadczeń w Turynie czynionych, obliczono takie, że w odległości 400 kroków, kula armatnia 12-funtowa czterdziestu ośmiu, 6-funtowa trzydziestu dziewięciu, 3-funtowa trzydziestu ludzi powalić może, znowu w odległości 800 kroków pierwsza trzydziestu sześciu, druga dwudziestu ośmiu, trzecia dziewiętnastu. Daléj zagłębianie się kul w drzewo, oszacowano o $\frac{1}{3}$, w murze o $\frac{1}{3}$ więcéj, niż w ziemi, przyjęto zaś, że w przedpiersie świeżo usypane bez odzienia zagłębia się kula 12-funtowa, przy naboju 5 funtów prochu, w odległości 800 kroków na $5\frac{3}{4}$ stóp. Granaty i bomby nie tak mocno zagłębiają się, jak kule, bo nie tyle szybko, z mniejszą więc siłą biegną, ale za to przez rozpękanie wynagradzają w skutku; działalność znowu kartaczy zależy od ich wagi, jednak mniejsze kartaczowe kulki, zwłaszcza gdy im miejscowość sprzyja, w małéj odległości są straszne.

Podług podań z 3- i 6-funtowych armat można wypalić w minucie dwa razy, a z 12-funtowéj w dwóch minutach trzy razy. Z dział ciężkich na jeden strzał przypuszcza się pięć minut czasu. Z granatników co minuta, z moździerzy co pięć minut jeden strzał w podniesieniu; kartaczowy ogień nigdy długo nie trwa, jedynie w szczególnych okolicznościach zażywany, lecz wtedy od jak największéj jego szybkości wszystko zależy.

N a u k o w o ś ć. Najrozleglejsza w zakresie naukowym i pierwsza okresem założenia, jest

szkoła inżenierów w Wiedniu (Ingenieur-Akademie), jeszcze w roku 1717. ustanowiona. Generał-Dyrektorem jéj jest arcy-książę Jan Baptysta: liczy ona professorów ośmiu wojskowych do przedmiotów wojennych i matematyki, stósowanéj do wojenności, a cywilnych także ośmiu, którzy znowu wykładają dzieje powszechne, geografią ogólną, rysunki, języki niemiecki i francuzki, tańce, sztukę jeżdżenia konno i potykania się. Uczniowie w niéj mieszczą się jedni na koszcie publicznym, a mianowicie dwudziestu z królestwa lombardzko-weneckiego, dwudziestu z królestwa Galicyi i Lodomeryi, dwóch z innych krajów; z prywatnych zaś zapisów w ogólności uczniów dwudziestu dziewięciu. Własnym kosztem utrzymujących się przyjmują, skoro okażą dostateczne przymioty. Wychodzą z niéj usposobieni do każdego zawodu publiczno-cywilnego, i na officerów wszelkiéj broni, po odbytym pięcioletnim kursie.

Druga jest **szkoła dla wojskowych** (Militair-Akademie zu Wiener-Neustadt), w r. 1752. ustanowiona, téj generał-dyrektorem także arcy-książę Jan Baptysta, podzielona jest na ośm klass, cztery oddziały, — mieści się w niéj synów officerskich na koszcie publicznym trzystu dwudziestu dziewięciu, na funduszu stanowym z różnych części cesarstwa stu piętnastu, i tu przyimują uczniów na własny koszt. Wychodzą z niéj usposobieni jedynie do zawodu wojskowego.

Daléj **dwie kompanie kadetów**, jedna w Ołomuńcu, druga w Grätzu, w r. 1808. ustanowione, w których usposobiają się ochótnicy do służby pieszéj.

Wreście **domy wychowania dzieci żołnierskich** (Regiments-Knaben-Erziehungshäuser) w Medyolanie, dla trzystu dwudziestu synów feldweblów i wachmistrzów, w Galicyi dla trzystu trzydziestu sześciu synów żołnierskich, dla całéj armii czterdzieści takichże zakładów, w każdym po czterdziestu ośmiu uczniów, w różnych punktach cesarstwa. Dwa nakoniec domy na sto pięćdziesięciu synów żołnierzy służących w piechocie granicznéj. Nie przepomniano nawet i o wychowaniu córek zasłużonych officerów, jest do tego zakład na czterdzieści dziewięć w Hernals pod Wiedniem.

Artylerya dostaje officerów z dwóch pierwszych zakładów, mianowicie téż z pierwszéj szkoły. Instrukcya kanonierów odbywa się w szkołach kompanicznych, gdzie każdy z nich zacząwszy od czytania doprowadzonym być musi aż do geometryi elementarnéj, przytém teoretycznie i praktycznie uczy się wiadomości i obowiązków swojego zawodu. Pilniejsi, bardziéj celujący nauką, przechodzą do szkół pułkowych, gdzie mogą ubiegać się o stopień pod-officerski; ztąd znowu najzdolniejsi przechodzą do korpusu bombardyerów, który także dostarcza officerów, lecz, aby się tam dostać, oprócz pilności i wyższego usposobienia, wymagają zobowiązania się na całe życie.

Widzimy ztąd, że w Austryi zakłady artyleryczne najdokładniéj urządzone, naukowość, co do tego, wysoko posuniona; i tylko oprócz, że jest niewygodną uprząż, biegli w wojenności zarzucają artylerzystom austryackim nieprawność w obrotach polowych, zwłaszcza, gdy je do poruszeń reszty wojska zastósować przychodzi; lecz też winę tę nie na karb korpusu policzyć należy, wypływa ona bowiem z oszczędności przyjętéj w systemacie finansowym państwa, dla czego w czasie pokoju prawie nigdy nie zbierają się na ćwiczenia znakomitsze oddziały wojska, a dawno do boju wystąpić nie przyszło.

J. G.

Chłop i djabeł.

(Z zbioru gminnych gawęd wielkopolskich.)

Zapewne nie jednemu z was, których nie raźi widok ubogiéj chatki wieśniaka, zakopciałe jéj ściany i proste sprzęty; którzyście się z roskoszą nieraz przysłuchiwali jego dziwacznym opowiadaniom: o powrocie dusz po śmierci, o wodzeniu po kałach, kuszeniu i t. p.; zapewne, mówię, nie jednemu już się tam dowiedzieć zdarzyło, że jak dziś przebiegłym i mądrym, tak niegdyś djabeł zupełnie był głupim. Zkąd taka zmiana? kto go ucywilizował? jakie trudności i koleje przebiegała ta kultura? — o to raczycie zapytać krytyków, jak n. p. panowie Gawędzki i Dudziński, pod Karpatami żyjący; (*) ja wam tylko ustami ludu chcę stwierdzić, *że* i *jak* istotnie dawniéj djabeł bardzo był głupim!

I.

W jednéj z wioszczyn Wielkopolski, lecz któż to wie, w któréj i kiedy? dosyć, że w jednéj z tych wiosek, żył sobie chłopek pracowity i rzędny. Owoż też w jego zagrodzie nie zbywało na niczém: w stodółce był zboża zapas, w oborze bydełko jak ulane, w domu chleba i miodu sporo, w sakiewce grosz na zawołanie. Ale **Tomek** (takie jego imię) nie miał przyjaciół, i nawet mało dbał o nich. Lecz co najdziwniejsza, że, choć nikomu w życiu najmniej-

---

(*) Przed niejakim czasem umieszczono w Przyjacielu ludu interessowną dwóch tych panów rozmowę o gadkach gminnych. Odznacza się ona szczególniéj nadzwyczajną umysłu bystrością i oryginalném postrzeżeniem, że owe powiastki, te proste utwory dziecinnéj ludu wyobraźni, są allegoryami!!... Szkoda, że szanowni badacze może za daleko posunęli ostrość swéj krytyki, dając dość jasno do zrozumienia, iż owe drogie pamiątki patryarchalnéj naszego ludu przeszłości, częstokroć też tylko nazwę takowych nosząc, niczém więcéj nie są, jak wymysłami ich mniemanych zbieraczy. Byłaby to lekkomyślność, lekceważenie narodowych świętości, którego nikt mniéj się nie dopuści, jak piszący dla ludu.

széj nie wyrządził krzywdy, z nikim się nigdy nie zwaśnił, każdy od niego stronił, jakby od złego ducha. Sąsiedzi dziwne o Tomku powiadają rzeczy: że na msze, do spowiedzi nie chodzi, że musi z Złym trzymać, boć od Boga nie pochodzi ta jego pomyślność. Wszakżeż i na Tomka przyszedł skweres nie mały. Piorun chatę mu spalił; ledwo wzniósł drugą, gdy nowy kłopot: inwentarz mu wypadł, w polu wszystek plon pognił. Aż tylu nieszczęściami pognębionego, jakby na domiar wszystkich, ciężka niemoc powaliła o łoże.

Stan kmiotka był opłakany. Uzbierany przez lata pomyślności pieniądz, wyszedł na budowlę, na nowy inwentarz, zakup żywności, nawet i długu nieco zaciągnąć musiał. Lecz wszystko to bez użytku, gdy ręka gospodarza bezwładną. On na twardém z desek, troszka słomy posłaniu, coraz to gorzéj się miał. Choroba wymagała pielęgnowania; nikt mu go nie niósł, bo każdy nawet próg chaty przestąpić się lękał. Zrazu biedny, jak mógł mocował się z niemocą; lecz wkrótce sił brakło, leżał więc nieporuszony, a śmierć coraz srożéj w oczy zaglądać poczęła.

Sąsiedzi nazajutrz z pierwszym zaraz świtem wyszli na robotę. Ale jakież było ich podziwienie, gdy ujrzeli Tomka około chałupy znów zdrowo i żwawo się krzątającego. Dziwnie potrzęśli głową i szybko odeszli w milczeniu. Za powrotem do domu powiadają im żony, że dziś w północy strasznie świstało i chychotało się w około Tomka chałupy, aż włosy na głowie stawały; pewno bies przyszedł po jego duszę, bo pono wczoraj bardzo już źle z nim było. Zwyczajnie, jak proste kobiety.

Nadszedł tymczasem wieczór. Tomek siedział zadumany przed chałupą, kiedy coś strasznie zaszumiało i zahuczało w powietrzu, i ukazał się przed nim djabeł: z końskiém kopytem u jednéj, kurzą stopą u drugiéj nogi, z długim ogonem, rogami na łbie osmolonym i z sążnistym nosem na potwórném obliczu (*). Chłop się wzdrygnął mimowolnie, lecz djabeł rzekł:

„No, kmoterku? cóżeś się tak zadumał? czyć jeszcze czego potrzeba?“

O i bardzo, bardzo jeszcze wiele.

„Czegoż więc? gadaj!“

Hanu — pieniędzy; boć oto bieda wszystkiemi dziury zaglada, a nie ma jéj czém odegnać. — (Odpowiedział Tomek, drapiąc się w głowę.)

„To fraszka“, odparł djabeł; „tych ci pożyczę; mów tylko, ile?“

Przynajmniéj, przynajmniéj, kumie — (zwolna chłop na to, rozkładając rękoma i poglądając w ziemię); ile owo w tę piazdę od koła się zmieści.

(*) Takiego djabła widują jeszcze dotąd pod Goruszkami, za zniesionym klasztorem OO. Reformatów, w powiecie krobskim.

„Dobrze; poczekaj chwilkę, zaraz wszystko mieć będziesz kmoterku!“ rzekł usłużny djabeł i jak piorun sunął w powietrze, z takim trzaskiem i szumem, że cała wieś zadrżała, a wszystkie grusze w polach i sadach do ziemi się przygięły.

Ledwo chłop koło ustawił, już był z powrotem, z ogromnym na barkach miechem pieniędzy.

„Gdzież miara kmoterku? bo jestem.“

Dyć oto, oto, mój kumie, (odpowiedział Tomek.)

„Ale tu tak ciemno, kmoterku; ja nic nie widzę.“

Anu, mój kumie, (rzekł znowu chłopek przebiegły); u światła mogliby nas ludzie zdybać. Trzeba nam już tu pozostać.

„Więc poczekaj!“ I rozerwawszy miech, począł sypać w koło. O jakżeż rozradowało się serce Tomka, gdy posłyszał brzęk złota! Teraz, teraz, to ja dopiero zadrwię sobie z świata, pomyślał w duszy. Ale wtém coś pociemniało mu w jego myśli, bo się zadumał; lecz spojrzał na błyszczący kruszec, i smutek zniknął. Djabeł tymczasem jak sypie, tak sypie, a piazdy napełnić nie może. Aż zniecierpliwiony, krzyknął:

„Piorańskie, kmoterku, masz koło! Jużem co nie pół miecha wytrząsnął, a jeszcze ni znaku.“

Anu kumie, zważcie też jeno, że złoto ciężkie i że się usadza.

„Masz racyą, kmoterku.“ Już się też i druga wypróżniała miecha połowa, gdy djabeł raz jeszcze trząsnął, i poskoczywszy z radością zawołał:

„Przecież zatkałem. Lecz patrz kmoterku, jakem odmierzył: żeby też jeden nie został dla mnie!... Ale teraz bracie, kiedyż dług zwrócisz?“

Co do tego, mój kumie, toć już nie prędzéj, aż liście z drzewa opadnie.

„Dobrze,“ rzekł djabeł; „ale pamiętaj téż i o drugiéj ugodzie, którąśmy dzisiejszéj nocy zawarli; pamiętaj, że po latach siedmiu i o duszę się będziemy rachować! Bądź zdrów tymczasem.“

Tomek zadrżał na to wspomnienie, począł szczerze żałować za czyn, co popełnił, kiedy doń złoto tak rażącym i tak miłym zaśmiało się blaskiem, że znów o wszystkiém zapomniał. Uniósł z zapałem koło, i tu dopiero nieokreślona roskosz owładnęła mu zmysły, gdy dół, nad którym je mimo wiedzy djabła był położył, cały czerwonemi złotemi zapełniony ujrzał. „Ha kumie!“ wykrzyknął z radości; „jam widzę jednak od ciebie mędrszy, choćeś ty djabeł, a ja chłop. Kto wie, może się wreszcie i pokwitujem tak gładko? . . .“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmaitości.

Las podziemny.

W okolicy South-Stockton odkryto niedawno wielki podziemny las, składający się z samych kłód olbrzymiéj wielkości. Wiatr i woda zmiatają niekiedy z nich piasek i odkrywają te niezmierne kłody, leżące w jednostajnym porządku, które wtenczas okoliczni mieszkańcy wykopują i stolarzom przedają. Wydobyte świeżo takie drzewo, zdaje się być zupełnie przegniłe; na wolném powietrzu twardnieje tak dalece, że zwyczajnemi narzędziami obrobić się nie da; przeciwnie zaś łupie się bardzo łatwo, i tak prosto, jak gdyby było piłą przerznięte.

Nowa ballista, czyli machina do rzucania pocisków.

14go Czerwca r. z. robiono w Kingston, w Anglii, próbę z nową straszliwą machiną, mogącą zastąpić nietylko armatę, ale i moździerz. Cały apparat ma ważyć tylko 12—15 funtów (?). Zręczną ręką rzucony pocisk na łodź, w pewnéj odległości stojącą, z tak gwałtowną explozyą łodź strzaskał w kawałki, że drzazgi na kilkadziesiąt stóp rozprysły się, a w odległych nawet domach dało się uczuć wstrząśnienie, jak gdyby prochownia w powietrze wysadzoną była.

O francuzkich podróżnikach.

Panu Fresnelowi, mianowanemu konsularnym agentem w Mekce, podaje się najlepsza sposobność do ukończenia himjarytyckich badań i napisania grammatyki tego najstarożytniejszego z arabskich dyalektów. W ogólności obecnie wiele uczonych francuzkich zwiedza wschód w różnych kierunkach. Nie są to owe belletrystyczne geniusze, co się przejeżdżają do Konstantynopola, lub Palestyny, aby kilka artykułów do Journal des Debats napisać; lecz prawdziwi uczeni, którzy nie robią wprawdzie tyle hałasu, ale gruntowną znajomością rzeczy i języków opatrzeni, więcéj się naukom przysłużyć mogą.

Theroulde, uczeń Bernoufa, jest w Indyach. Zabawiwszy dwa lata w Kalkucie, udał się wzdłuż Gangesu. Ostatnie jego doniesienia są z Allahabad; ztąd ma zamiar puścić się do Lahoru i Kaszmiru. Po nim pewniejszych niechybnie spodziewać się można rezultatów, niż po wielomownym Jacquemont. — Boré, uczeń Sylwestra Sacy, jest w Etschmiazin, i ztamtąd zwiedzi Mezopotamią i Persyą. — Botta, syn historyka włoskiego, powrócił niedawno z Arabii i Nubii, gdzie znaczne zgromadził zbiory do historyi naturalnéj. Skoro te nadejdą, ma zamiar powtórnie udać się na zwiedzenie wschodu. — D'Abbadie powrócił także przed kilku miesiącami z Abissynii, gdzie zostawił swego brata w kraju Galla. On sam powróci niebawem do Gondar. — Podróż panów Combes i Tamisier do Abissynii, w 4ch tomach, zawiera nie jeden ważny szczegół, chociaż autorom schodziło i na poprzedniczém usposobieniu i na bystrości do czynienia spostrzeżeń. Zbyt krótko także bawili się na każdém miejscu, aby mogli gruntownie poznać lud i okolice, które tylko w przelocie zwiedzili. Jestto powszechną wadą prawie wszystkich podróżnych, którym więcéj idzie o ilość mil przebieżonych, niż o gruntowność; dla tego rządy, wysełające podróżnych do obcych krajów, powinnyby im zalecić, aby w miejscach ważnych po kilka lat bawili. — Russel w swym opisie Aleppu i Lane w swém dziele o Kairze, więcéj rzucili światła na wyjaśnienie wschodu, niż tuziny podróżnych, przelatujących w zdłuż i w szerz wschodnie kraje.

Nowiny literackie.

(Dokończenie.)

Doniesienie literackie. W Krakowie wyjdzie w krótce drugie wydanie książki Michała Wiszniewskiego: Bakona metoda tłumaczenia natury i charaktery rozumów ludzkich, wydanie przejrzane, znacznie odmienione i powiększone. Musimy tu jeszcze dodać: iż dzieło pierwsze nie jest tłumaczeniem pism Bakona, jak mylnie pewien autor twierdzi, ale wykładem jego metody. PP. Malinowski i Glücksberg (nie księgarz wileński, ale jego krewny) zebrawszy wiele rękopismów do historyi polskiéj należących, zamyślają rozpocząć ich drukowanie w porządnéj własnéj drukarni na wsi założyć się mającéj. Obadwa miłośnicy i znawcy historyi, uzbrojeni potrzebną do tego wytrwałością, sporządzą: *Corpus rerum polonicarum*, którego nasza literatura potrzebuje, bo na błahych wyjątkach Skarbca, historyi budować nie można, a wydanie nowe Pamiętników Niemcewicza przez Bobrowicza, pomnożyło tylko liczbę pomyłek, na których i pierwszemu wcale niezbywało. Jeden z biegłych, w genealogii polskiéj literatów, wkrótce wyda na widok dziełko, które zajmującém będzie, z napisem: Mimowolne i umyślne błędy i fałsze, których niejaki P. Bobrowicz w wydaniu lipskiém Niesieckiego dopuścił się; drugi zaś literat, znany już z dowcipnych powieści, ten sam co napisał: Przygody u zielonego mostu, zacznie w krótce drukować piękną nader i zajmującą powieść historyczną, pod tytułem: Głośny w literaturze bombardier.

Donoszą nam o śmierci X. Alojzego Osińskiego, który niedawno był został biskupem *in partibus*. Był to brat Osińskiego, tłumacza Cyda i dyrektora teatru warszawskiego. Wychowany u Pijarów, był w domu obywatelskim na Wołyniu nauczycielem, kiedy go Czacki, szu-

kający wówczas wszędzie ludzi uczonych, do Krzemieńca na professora literatury polskiéj i łacińskiéj powołał. Do wykształcenia atoli znakomitéj młodzieży, która w téj szkole kształciła się (między innymi Malczewski i Zaborowski, poeci) nie wiele X. Prałat się przyczynił. Odwiedzających, nie literaturą, ale sobą najwięcéj zajmował. Nieprzebierał w pochwałach; lubił najwięcéj, gdy mu przynoszono nowiny o jego nominacyi na biskupa, czego się przez dwadzieścia kilka lat do woli nasłuchał, aż nakoniec doczekał się i tego. Pisma jego, które wyszły z druku: słownik mitologiczny, pochwała Kopczyńskiego, żywoty Czackiego i Skargi, kazania z ucinkowych złożone okresów i mowy akademickie, nieprzeszły granicy, w których mierność kołować zwykła; ale przygotowany słownik polski, który on skarbcem języka polskiego nazywał, i wiadomości o literaturze polskiéj w rękopismie pozostałe, mają być ważniejsze. X. Osiński cały swój niemały majątek (który długą oszczędnością zebrał), miał obrócić na założenie własnéj drukarni, w któréj ten słownik miał się drukować. Już wszystkie do tego przygotowania były poczynione, gdy go śmierć zabrała. Co się stało z rękopismami? *Utinam sim falsus vates!* pieniądze, skrzętnie przez nieboszczyka zbierane, zabiorą sukcessorowie, a rękopisma długo okazywane, przenoszone, na przedaż wystawione, oceniane, pójdą nakoniec na pastwę molów i myszy. Nie jeden o nich przy fajce pogada, nie jeden powie: żeby je koniecznie wydać należało; P. Poniatowski, który własnym kosztem słownik polski X. Osińskiego wydać przyrzekał, podrapie się w głowę, niezaprze się swojéj obietnicy, ale.... to wszystko rozpłynie się w powietrzu, jak kłęby dymu; jeszcze potém z pare razy ktoś o tém wspomni, a potém głuche i wiekuiste nastąpi milczenie.

Bard finlandzki.

Estowie tak mało się obyczajami i religią od innych tego szczepu różnią narodów, że odcieniowanie ostatnich podług rysów głównych, jest także odmalowaniem pierwszych. Nie będzie przeto od rzeczy o Fińczykach cokolwiek w ogólności powiedzieć.

Fińczykowie nigdy zdobywczym nie byli narodem; wszędzie ich ujarzmiano; lecz mylnebyś miał zdanie, gdybyś ztąd o miękkości i braku męstwa chciał wnosić. Wszyscy dawniejsi północni historycy opisując ich, wystawują ich jako nader bitny naród, którego moc ciała ostrości klimatu zupełnie odpowiadała; męstwo ich, tak jak skały, wśród których mieszkają, nieugiętém było. Z mocą wiatru, mówi jeden pisarz, pędzą Fińczykowie, chcąc napaść na nieprzyjaciela, sypią obłoki długich pocisków na niego, i unikają z równą szybkością jego razów, aby w kilku chwilach zebráni, w niewstrzymanym pędzie powtórnie na niego uderzyć.

Jedynymi byli oni na morzu Normanów przeciwnikami: albowiem na licznych swych jeziorach i rzekach, wydoskonalili się na biegłych majtków; do jakiegokolwiek więc bądź zbliżyli się brzegu, bardzo rzadko oprzeć im się zdołano. Kiedy te straszliwe narody, morza północnego, atlantyckiego i środziemnego wyłącznie były panami, a Anglia, Francya, Hiszpania i Włochy pieniędzmi tylko lub ustąpieniem prowincyj, pokój drogo okupować były zmuszone, wtedy na własném morzu upokorzali ich na małych swych statkach Estowie połączeni z Finnami.

Jak w męstwie, tak też co do ukształcenia, Fińczykowie inne skandynawskie przewyższali narody, w niczém im bynajmniéj nie ustępując. Znani pomiędzy sąsiadami swymi z wierności, przywodzili im także w znajomości niektórych kunsztów i rękodzieł.

Kopalnie w górach uralskich, ruiny zburzonych miast, które z nazwiska nam tylko są znane w dawnéj Biarmii, między morzem Białém i wyżéj wspomnionemi górami, świadczą dostatecznie o stopniu oświaty, jaka pomiędzy Fińczykami panowała. Podania liczne, utrzymujące się dotąd pomiędzy gminem, opisują nam zamożność niegdyś kraju tego, a mianowicie przypominają bogactwa i przepych po świątyniach bogów i pałacach bohatérów.

Rozprzestrzeniony handel był źródłem zbiorów wielkich i rozmaitych wiadomości. Normanowie sami przyznawali finickim narodom ukształcenie i za czarnoksiężników ich poczytywali.

Gdy Froto, mówi wieść, z nimi walczył i do ucieczki na polu bitwy zmusił, rzucali uciekający ziarnka piasku za sobą, które się ścigającym walącemi się na nich górami zdawały, i postęp ich wstrzymały. Nazajutrz stali na miejscu boju Fińczykowie; walka się wszczęła na nowo, tym sposobem, jak dnia poprzedzającego, rozstrzygnięta. Dopiero, gdy dnia trzeciego zwyciężeni byli, poddali się zupełnie, obowiązawszy się corok składać haracz umówiony, widząc w przegranéj po raz trzeci wyraźną bogów wolę.

Szczególniéj kochali się Fińczykowie w muzyce i poezyi. Gdy Estowie, (mówią dzieje Finnów,) razu jednego zamek obronny zdobywali Lettów, usiadł chrześciański kapłan na murze, grając na instrumencie przy śpiewie swoim. Odstąpili Estowie natychmiast od zdobywania i cofnęli się niebawnie. Sami mieli cytary i kobzy, towarzysząc na nich pieniom swoim. Jak u innych narodów Skandynawii, tak byli także i u nich bohatérowie ich bardami, zachęcającymi do boju towarzyszów swoich, przypominając im czyny przodków. Pieśni gminne Finnów mówią o Herkulesie skandynawskim, który cały świat zwiedził, tyranów walczył, uciemiężonym



Wajnemöna, bard finlandzki.

pomoc niósł i pomiędzy ludami złotą wolność głosił. Potrzebujący ratunku, nieszczęśliwi, wzywali go w najodleglejsze krainy; a on z największą radością spieszył na ich wołanie.

Pieśni ludu wspominają imię finnickiego Orfeusza Wajnemöny, na którego głos nietylko się ludzie, ale nawet dzikie zwierzęta zbiegały, i za nim, gdy ze stron liry swéj czarodziejskie wywodził tony, po całym kraju chodziły.

Niewiasty, duchem także wieszczym natchnione, zachęcały do bohatérskich czynów mężów i synów swoich, z którymi w boju wszystkie trudy i niebezpieczeństwa dzieliły. — Młodzieniec upatrzywszy sobie u sąsiada swego dziewicę na żonę, wkradał się potajemnie do jéj mieszkania i zawieszał nad łożem jéj pas swój, przy którym miecz zawieszał. Jeśli oblubienica pas ten wyrzuciła z komnaty na dwór, wzgardzony młodzieniec nie śmiał już po drugi raz o rękę jéj się starać. Jeśli zaś pas nad łożem dziewicy przez dni kilka zostawał zawieszony; śpieszył wtedy młodzieniec do domu jéj ojca i układał się o kwotę pieniędzy, jaką złożyć musiał rodzicom dziewicy, aby żonę dla siebie z ich domu mógł uzyskać. Wykradał ją potém z domu rodziców i prowadził przed ołtarz bogów, aby kapłan związek ten błogosławił. Odtąd była żona nieodstępną jego towarzyszką; chodziła z nim na polowanie, z naciągniętym łukiem tropiła po kniejach dzikiego zwierza, do boju niekiedy nawet z mężem występowała. To zapewne dało powód do podania o Amazonkach północy.

Rząd finnickich narodów był rozmaity. Biarmowie mieli rząd monarchiczno - dziedziczny; Finnowie i Liwowie wybierali sobie sami rządców; Estowie tworzyli Rzeczpospolitą. Jakkolwiek rząd pomiędzy tymi narodami był różny, tak zadziwia pomiędzy nimi panująca zawsze jedność i zgoda. Nigdy pomiędzy sobą niewidziano ich walczących; gdy zaś nieprzyjaciel groził ich granicom, wszyscy jakoby jeden mąż, do boju, w obronie wolności i swobód, równie na lądzie, jak na morzu występowali.

Śpiew matki.

(*Nadesłany przez pewną Podlasiankę.*)

Płakało dziecię długo, płakało rzewliwie,
Aż matka je niewinną tuląca pieszczotą,
Schylona nad kolebką, zanuciła tkliwie:
Śpij moje złoto!..

Dźwięcznego głosu matki harmonijne brzmienie,
Zwolna małego syna uciszało żale;
Boskim nektarem drobne słodziło cierpienie.
Żywość oczek spoczynku otaczało cieniem,
I wreszcie słodkiém dziecię ujęło uśpieniem.
A matka tryumfując, powoli, wspaniale,
Rozsuwała nad główką cieniutkie okrycie,
I choć ciszéj, choć wolniéj, jeszcze mu śpiewała:
Śpij moja nadziejo cała,
Moje ty życie!

Ach! te najpierwsze piosnki, wydane z ust matki,
Których zaledwie całość ucho pojąć umie,
Już wdzięczne serce dziecka, pojmuje, rozumie,
I chowa jak miłości najczulszéj zadatki.
A jeśli późniéj samo śpiewać się ośmieli.
Choć zupełnie odmiennym otoczone światem,
Choć inaczéj mu nóci grono przyjacieli,
Odepchnie ich, pogardzi czczego wdzięku kwiatem.
Zcicha zabrzmi mu w uszach odgłos ulubiony,
Przyjdzie na myśl wiek złoty, roskosz młodociana,
I w piosnce, którą usta zanócą młodziana,
Pierwszych piosenek matki odezwą się tony.

O jak szczęśliwe to dziecię,
Któremu własna matka nad kolebką nóci!
Dla którego zabawy, uciechy porzuci,
Szczęście swoje rodzinną ograniczy chatką,
O całym zapomni świecie,
Wie tylko, że jest matką!...

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)